

## IWONA BURDZANOWSKA

ur. 1960



<b>Słowa kluczowe</b>	Lublin ; codzienność w PRL ; Rolke, Tadeusz (1929- ) ; Kurier Lubelski (dziennik) ; Warszawa ; Kraków ; ulica Górna 4a ; PRL ; współczesność ; ulica Górna ; ulica Krakowskie Przedmieście ; LSM ; Stare Miasto ; Miesięcznik Lekarski Medicus ; Gazeta w Lublinie ; Gazeta Wyborcza ; Sztandar Ludu (gazeta) ; dziennikarze ; praca fotoreportera ; ulica Spokojna w Warszawie ; ulica Kawia w Warszawie ; aparat fotograficzny ; fotografia ; fotografia naukowa ; fotoreportaż ; zdjęcia ; szkoła fotograficzna ; Zespół Szkół Fototechnicznych w Warszawie ; Weekend Wspomnień (książka M. Dereckiego) ; Augustowska, Anna ; Biały, Wacław (1943-2004) ; Chyrchel, Iwona ; Derecki, Mirosław (1936-1998) ; Durakiewicz, Jerzy (1934- ) ; Koziara, Andrzej ; Mutror, Michał ; Pleszczyński, Jan ; Rakowiecki, Jacek ; Ruchlicki, Wiesław (1956-) ; Stachura, Edward (1937-1979) ; Tomaszewski, Tomasz
-----------------------	--

### 001 A my cieszyliśmy się z Mirka

Trudno nie pamiętać spotkania z Mirkiem Dereckim, właściwie całkowicie zawładnął naszym „Co jest grane” to się chyba teraz też tak nazywa. Jeszcze wtedy redakcja była na Górnej, w środę było robione „Co jest grane?” Przychodził Mirek i przynosił swoje materiały na następny tydzień i chodził, właściwie towarzysko, po redakcji. Mirek po prostu bywał, przynosił materiał, wtedy Iwona Chyrchel, robiła ten dodatek „Co jest grane?” I tam przeważnie materiały Mirka były [publikowane]. Chyba, że były w części publicystycznej Gazety, ale to już wtedy było sześć czy osiem stron, takich stron papieru drukowanego. To wtedy nawet reportaże Mirka, teksty Mirka pojawiały się w tym naszym lubelskim głównym grzbiecie. Pan Mirek sobie przychodził, był zawsze taki sympatyczny, fajny taki bardzo miły, starszy pan ze śladami męskiej urody, takiej specyficznej. Po pierwsze diabełek w oczach, widać było, że chłopak ma przeżyte i swoje doświadczenia wszelkie miał wypisane na buzi, bardzo to było interesujące. Gawędził z nami. Opowiadał jakieś historyjki. Potem już jak przeprowadziliśmy się na Krakowskie Przedmieście i redakcja była urządzona tak nowocześnie, tak bardzo nowocześnie, czyli były takie wymurowane boksy, w tych boksach siedzieli dziennikarze oddzieleni taką ścianką jeden od drugiego, to Mirek przechodził i zatrzymywał się w przejściu między tymi boksami, i stał tam nad Anką Augustowską i Agnieszką Dybek i tak sobie żartowali, dworowali, nawet czasami się

wyzłóśliwiali. I właściwie poza dziewczynami, poza tym, że ja czasem ilustrowałam teksty Mirka i poza sekretariatem redakcji, to nikt bardzo jego obecnością nie był podniecony. No po prostu to był taki fragment bohemiczno-literacki, który reszty redakcji nie bardzo dotyczył. No, ale my się cieszyliśmy z Mirka, bo Mirek był po prostu przezabawnym człowiekiem. Chociaż czasami dziewczyny narzekały, bo była robota do zrobienia, a Mirek przychodził i opowiadał jakieś historie i [albo trzeba było] mu powiedzieć: „Weź Miruś, idź sobie, później przyjdź” Albo słuchać i nie robić. No, ale był naprawdę taki, taki barwny, taki inny. Widać było, że z niejednego [pieca jadł], niejedną sytuację [przeżył] i to była Mirka zaleta absolutna. To jest zdjęcie, z Krakowskiego Przedmieścia, tam gdzie mieliśmy siedzibę. Właśnie to jest fragment tego boks. Po drugiej stronie byli sportowcy, a tutaj to jest fragment boks, to był taki dwuosobowy boks i właśnie tu siedziała Ania Augustowska, z Agnieszką Dybek i Mirek pierwsze co robił, to szedł do dziewczyn i się tam zatrzymywał. Tak, że to była stała pozycja Mirka, jak przychodził z materiałami albo wpadał do redakcji po drodze, bo gdzieś tam szedł, czy miał jakąś krótką historię do opowiedzenia albo po prostu miał szybki interes do załatwienia. Jak spotkałam Mirka to owszem, postąpiłam tam chwilę, posłuchałam, co on opowiada, ale tak naprawdę to niewiele z tego było. Ale trzeba powiedzieć, że to była osoba, której nie dało się, nie zauważyć. Było coś takiego w nim fajnego, że mógł się podobać w każdym wieku.

### **002 Miejsce fotoreportera jest na ulicy**

Praca fotoreportera jest na ulicy, jak to [mawiał] świętej pamięci nasz pierwszy szef Wacek Biały. Mówił: „Burdzanowska, twoje miejsce jest na ulicy, bo fotografy chodzą po ulicy” Ja bardzo chętnie korzystałam z możliwości wyjścia na ulicę. Jeszcze wtedy w Gazecie był ilustrator albo dwóch i teksty Mirka były ilustrowane rysunkiem. Takich fotografii to zdarzało się mało. Pamiętam, że do tych tekstów to była może jedna czy dwie. Czasami trzeba było znaleźć coś współczesnego co nie wyglądało jak współczesne. Dlatego, jak [pojawił się] pomysł książki o Lublinie „Weekend wspomnień” czyli to wszystko, co wynikało z tych tekstów, które opublikował w Gazecie, to wtedy zaczęło być już ciekawie, ponieważ teksty dotyczyły różnych czasów, takich niekoniecznie bardzo współczesnych. A do dyspozycji były tylko pocztówki, więc może to nie było wyzwanie, ale... Grafika, który zajmował się tą książką, chciał żeby miała formę albumową. Mówi tak: „Tekstu mało jest, bo mało. Mamy trochę materiałów archiwalnych, trochę mamy pocztówek, ale to trzeba jakoś jeszcze ubarwić” No i ubarwialiśmy, ubarwialiśmy.

### **003 Praca nad książką „Weekend wspomnień”**

Wymyśliliśmy sobie, że po prostu zrobimy niezależne od tekstu, korespondujące z tekstem, ale tak nie bardzo zależne zdjęcia ilustracyjne. Oni mi powiedzieli, czyli moja redakcja, powiedzieli, że ja mam to zrobić. I zaczęła się praca z grafikiem –panem Jerzym Durakiewiczem, który wtedy pracował w Wydawnictwie UMCS. już

wiedziałam jaki jest kształt, już z grubsza rozmawiałam z grafikiem. Mirek mi zostawił zupełnie wolną rękę, ale też dlatego zostawił wolną rękę, że on już wtedy zaczął być chory, już miał duży problem ze zdrowiem i praktycznie częściej bywał w szpitalu i w domu, niż przychodził do redakcji. Ale pomysł był mniej więcej taki żeby znaleźć w Lublinie miejsca, które troszeczkę będą nawiązywały do tych lat, o których on pisze, czyli ominąć tamtejsze reklamy tych lat dziewięćdziesiątych, ominąć takie rzeczy współczesne, ale też popętać się po miejscach, które będą klimatyczne, które dadzą atmosferę miasta. No i zaczęłam chodzić po tych dziwnych, klimatycznych miejscach. Oczywiście pan Durakiewicz powiedział, ile tych ilustracji potrzebuje, więc na tę ilość ilustracji, której on potrzebuje trzeba było zrobić troszeczkę więcej. Pora była taka paskudna, bo trudno znaleźć w takich działaniach redakcyjnych czas, żeby, po prostu nie mieć na głowie takiej bieżączki redakcyjnej, tylko pójść na spokojnie, na zdjęcia. Ja sobie wymyśliłam, tutaj przyniosłam wunderwaffe –podpowiedź, że będę robiła to starym aparatem, kliszą zwojową sześć na sześć, żeby to pasowało do kształtu książki. To od razu ten format, aparat wymusza [odpowiednie] kadrowanie takie żeby tego potem nie ciąć. No i ten stary aparat to był aparat, tego typu. Ja z czymś takim chodziłam po mieście i ja czymś takim, właśnie próbowałam sobie zrobić zdjęcia do książki Mirka Dereckiego. Tak sobie wymyśliłam, że tak będzie dobrze. I to dawało radę. Materiał był negatywowo, zresztą chyba wszystkie z tego co pamiętam to wszystkie wybrane negatywy, które potem były kopiowane to są tutaj w tym jednym miejscu, bo ja później je schowałam i już ich nie dotykałam. I one są. Później książka była w jakiejś korekcie, jakieś były różne rzeczy redakcyjne robione, a ja sobie próbowałam najspokojniej jak tylko się da, bo niestety fotografia to nie fabryka gwoździ i starałam się, żeby to jakoś wyszło bardzo przyjemnie. Jeszcze mam z tych czasów stare makiety gazetowe. Stare makiety, stare wydruki, negatywy i chyba tego nie będę wyrzucała.

[Gazeta] była łamana na miejscu, jak była tylko i wyłącznie czarno-biała, to były te czasom gdzie była normalna ciemnia fotograficzna. Ja jednak chciałam żeby co jakiś czas jacyś ludzie występowali na tych zdjęciach. Takie zakątki były gdzieś na Kalinowszczyźnie. A tu jest na przykład z ulicy za Cukrownią, okolica ulicy Dzierżawnej. Tak wtedy ludzie byli poubierani. Nie wiem czy to zdjęcie wchodziło [do albumu] –pan balonikarz, on potem zniknął z krajobrazu Lublina, ale był pan z balonikami. Widziałam takie zdjęcie ze zbiorów Janka Magierskiego. Jego ojciec zrobił właśnie takiego pana baloniarza. Ja przeglądałam te zdjęcia Janka Magierskiego i potem na Krakowskim dopadłam pana baloniarza. I słynna kapela klezmerska, która w Szerokiej występowała, Grzesiek Linkowski film kręcił. Ja akurat poszłam na Kalinowszczyznę, jak oni tam kręcili fragment filmu. Mówię: „Nie, to musi wejść do książki” Chodziłam tam z nimi: „To koniecznie musi być” No i miejsce, którego teraz nie ma, bo jest teraz trasa. Ulica Górna i od Górnej, odchodzi trasa, nie jak ona się [nazywa], Mościckiego, tak? No i tam były domki. I akurat tego domku już nie ma. Pani z kotkiem. Najpierw wyszedł kotek, potem pani przysłała po kotka, więc

zrobiłam. Żałuję, że tak mało. A tu jeszcze, jak w pełni władz umysłowych był Baobab. Nie był taki biedny, był wielki. Jakaś obrzydliwa śnieżycy czy jakaś mgła była, więc akurat to miało sens na czarno-bieli.

#### **004 Spacer po Lublinie, którego już nie ma**

To był pretekst żeby pochodzić sobie po mieście zupełnie inaczej. Oczywiście koleżanka z sekretariatu redakcji się denerwowała, bo ona chciała żeby to było ot tak i jest. Ale ja chodziłam, robiłam swoje, bo tutaj niczego się nie da przyspieszyć. Ale oprócz tego chodziłam i szukałam, zdjęć jeszcze rodzinnych. I tutaj powinno być zdjęcie Parku Ludowego, gdzie jeszcze był samolot. To zdjęcie wyciągnęłam od mojego wujaszka, który od momentu, kiedy był studentem, a przyjechał do Lublina, studiować chemię, mieszkał w akademiku i oczywiście fotografię uprawiał taką jaką mógł tam pouprawiać w akademiku. A jeszcze ciekawostka, bo on [poznał] Mirka Dereckiego wtedy, kiedy Edward Stachura był przez chwilę w Lublinie oni tam się ostro przyjaźnili, a Edward Stachura waletował w pokoju mojego wujaszka. Przez jakiś miesiąc czy dwa, później przeniósł się gdzieś indziej. Kiedyś mi powiedział: „A wiesz taki kolega, to chyba ten Derecki, on czasami przychodził jak u nas Sted [Edward Stachura] waletował w pokoju” Szukaliśmy tych zdjęć do książki u niego w zbiorach. Myślałam, że właśnie w tych jego archiwaliach, znajdę coś, że rozpoznam tam albo Mirka, albo właśnie nawet Steda, ale niestety czegoś takiego nie było. A tutaj [rok] '6, stadion przy Okopowej. To jeszcze taki związek rodzinny jest, ponieważ mój teść, Zbigniew Burdzanowski grał w piłkę nożną w Lublinie. No i tam na stadionie przy Okopowej też grywali. Tylko znaczy akurat to to nie jest to zdjęcie, na którym by dziadzio Zbyszek był. Cyrk na Rusałce. Tutaj jest Misjonarska. Przed nią mur seminarium, a teraz to jest apartamentowiec. Nie do poznania. A jeszcze z takich historii ten antykwariat Łosiaka. Ja pamiętam ten antykwariat, bo kiedyś poszliśmy z wujaszkiem jak potrzebowałam jakiejś książki. On: „Chodź na Pstrowskiego, tam jest antykwariat znajomy” Poszliśmy i co się okazało – że ten pan, właściciel był kolegą z wojska mojego dziadka. A ponieważ mój wujaszek był bardzo do ojca podobny, więc ten pan popatrzył, popatrzył i mówi: „A czy pan przypadkiem, nie jest z rodziny...” i tu wymienia nazwisko mojego dziadka. – „No jestem [jego] synem” No i potem już było bardzo, bardzo znajomo. Zdrój na Kowalskiej. On był w takim parchatym stanie, ale bardzo malowniczy. Nie, no miasto zupełnie, zupełnie jest inne. To właśnie były odkrycia, to było odkrywanie miasta z Mirkiem. Bo ja sobie musiałam pochodzić. Pochodzić i popatrzeć na to miasto i poszukać, żeby ono wyglądało tak, jak on pamięta, że ono wyglądało. Szliśmy sobie na spacer, czasami się spotykaliśmy i kawałek szliśmy sobie po mieście, ale Mirek miał komfort czasowy, ja tego komfortu czasowego nie miałam. Bo ja jeszcze musiałam się zebrać do ciemni, wywołać to, co miałam zrobione, zrobić odbitki. Potem trochę poużerać się z redaktorami, zeskanować no i praktycznie poczekać do wyjazdu gazety to w tamtych czasach na taki spacer dla spaceru to nie można sobie było za bardzo pozwolić. Ten cykl

wydawniczy trochę się włóki i Mirek już nie doczekał wydania tej książki. Mirek umarł, ale zdjęcia widział, bo pan Durakiewicz do niego chodził i pewnie ustalali, co wchodzi [do książki]. Pan Durakiewicz mówił, żebym się o okładkę nie martwiła, bo on ma okładkę na tę książkę. I pokazał mi właśnie to zdjęcie, jakby moim pomysłem było, że robimy to właśnie w takim klimacie.

### **005 Magia ciemni**

Rzeczywiście wujaszek bez przerwy robił zdjęcia, a jeszcze potem w liceum trafił się jakiś narzeczony, który robił zdjęcia i ja się postanowiłam tego nauczyć. Miałam wcześniej skłonności do malowania i rysowania, ale te skłonności się skończyły, bo fotografia jest szybsza, jest szybszym medium niż rysowanie i malowanie. Jak postanowiłam się nauczyć tego, no to pierwszy wywołany samodzielnie film [to była] magia. To wtedy nic dla mnie nie było bardziej ekscytującego niż wreszcie wywołać swój własny film. No i ta magia pozostała, magia ciemni. A potem była szkoła fotograficzna. Zajęłam się spadochroniarstwem, byłam w sekcji spadochronowej – przy tym zdjęcia też można robić, prawda? Przy okazji jeszcze wyjeżdżałam w góry. No to taka umiejętność, zawsze się przyda. Wtedy to już było wyłącznie włóczenie się z aparatem. To był aparat Beirette. Tata kupił aparat nie wiem po co. I jak on to kupił, to rok czy dwa jeden film siedział w aparacie zanim został w całości zrobiony. Ten aparat tak leżał, kiedyś ojcu spadł, ale później go wyjęłam i okazało się, że aparat działał. To jest enerdowski aparat, to nie jest żadna tam Smiena, to był szal, to był po prostu aparat jak trzeba. Moje pierwsze zdjęcie to był rok '6. Wtedy [popularna] była Smiena osiem, a tutaj tatuś kupił sobie takiego enerdowca. Akurat ten egzemplarz, to bardzo śmieszna historia, ponieważ jak Ani narzeczony przyjechał tutaj z nią kiedyś, zobaczył tą wystawkę aparatów, mówi: „A wiesz co to ja ci przywiozę, bo ja mam taki stary aparat w domu. Jak będę u rodziców, to ja ci przywiozę” No i przywiózł mi, przywiózł ten aparat, sprzęt, który był moim pierwszym aparatem! Bo tamtego się już w końcu nie dało naprawiać, już same części były i boję się, że rodzice te części, tego domowego Beirette' po prostu wywalili na śmieci. Jak na przerwie trzeba było zrobić jakieś zdjęcia i rolka mi się skończyła, to siedziałam na lekcjach, pod ławką miałam ten aparat i śrubokrętek. Rozkręcałam śrubokrętem, skręcałam aparacik, skręcałam rolkę albo pół rolki filmu, to jeszcze była pierwsza klasa liceum, filmy były drogie, więc trzeba było oszczędzać. Robiło się trochę tych zdjęć, Kilka razy mnie jakaś nauczycielka złapała na tym procederze. Więc była afera, ale nie przejmowałam się. Tak, że to była zabawka mojej młodości, potem narzeczony się wywakuował z tego związku, a ja zostałam z aparatem. I tak już mi zostało.

### **006 Zespół Szkół Fototechnicznych w Warszawie**

Była taka fajna szkoła fotograficzna w Warszawie przy wytwórni filmowej. Od razu tam wystartowałam. Szkoła fotograficzna mieściła się przy ulicy Spokojnej. Ulica

Spokojna jest ulicą, która prowadzi przy murze Cmentarza Powązkowskiego, a obok, ulica dalej, jest magiczna ulica Kawia [red. właśc. ul. Kolską], gdzie jest słynna izba wytrzeźwień w Warszawie. Bardzo dobra była okolica, jak robiliśmy filmy –to była szkoła fotograficzna i filmowa, więc mieliśmy jeszcze zajęcia z filmu i jak trzeba było na ósemce albo na osiem super nakręcić jakąś etiudkę, udźwiękować ją, zmontować, bo także tego rodzaju zajęcia były, to plenery na cmentarzu mieliśmy a i owszem. No i w okolicach Kawiej też mieliśmy plenery, bo jak przywozili pacjentów, a my kręciliśmy tam, jak była afera i awantura: „No, ale my tu z tej szkoły robimy. Nie, my nie robimy tego co wy wozicie, tylko my tu ogólne obrazki robimy. Ze szkoły, o tutaj. Tu do dyrektora jak macie problem” i potem już się od nas odczepiali. Kawia [red. właśc. ul. Kolską] była magiczna.

### **007 Wolę fotografować ludzi**

No, a później była fotografia naukowa na UMCS na mikrobiologii ogólnej. Bo właściwie zawsze na to miałam ochotę. Jak człowiek był przywiązany do jednego czy dwóch kanałów telewizji polskiej i pojawiały się jakieś filmy przyrodnicze, no to ja oczywiście z oczami wlepionymi [w ekran] i –ja bym chciała to robić. No i robiłam, przez dziesięć lat robiłam fotografię naukową. To było dużo mikroskopu, to było dużo fotografii w ultrafiolecie do badań genetycznych, dużo makro. Przez dziesięć lat się nie nudziłam, a w dziesiątym roku nagle stwierdziłam, że jestem znudzona i już nie chcę tego robić. Wtedy też studiowałam biologię, ale jak już mi się znudziło, to znudziło mi się wszystko i nagle z dnia na dzień wyniosłam się z mikrobiologii do Gazety Wyborczej. Później niestety problem był bo to była nowa, ekscytująca praca więc już w pewnym momencie wiedziałam, że tych studiów nie skończę, chociaż biologia zawsze mnie fascynowała i to mi zostało. Ale to już był wybór, to już nie było kompromisu. A właściwie tutaj już nie było żadnego wyboru. Widziałam to po kolegach, którzy na przykład byli łamaczami, którzy pracowali w tym studio graficznym, którzy byli różnymi redaktorami, że jak się nie zdążyło zrobić magisterium przed zaczęciem pracy, to już nie było szans, żeby te magisteria porobili. Jak już byłam w tej mikrobiologii, czasy zaczęły się trochę inne i sympatyczne. Zaczęłam jeździć w teren i robiliśmy takie realizacje, materiałów wideo, czy zdjęciowych, dla potrzeb Parku Krajobrazowego czy Ochrony Środowiska. Po prostu, kolega, naukowiec, miał chałtury, a ja mu w tym pomagałam. A ponieważ tej pomocy potrzebował, ale nie tak często, a ja miałam wiele czasu, to zaczęłam fotografować ludzi i stwierdziłam, że to wolę. Jak się coś zaczynało dziać, na przykład ten Kazimierzowski Park Krajobrazowy wtedy ledwo powstał, pojechaliśmy do Kazimierza i ja myślę sobie: „To niech on robi te kwiatki, a ja się pouganiam za ludźmi” Później znajomy mówi, że przecież są takie fajne gazety – „Może byś dawała [zdjęcia] jako materiał” No i zaczęłam dawać, a jeszcze pracowałam dorywczo i pracuję dotąd w „Medicusie” to jest taka gazeta medyczna, gazeta Izby Lekarskiej i ja jestem praktycznie od jego powstania. Więc jakby naturalną konsekwencją było to,

że ja już właściwie mam dosyć tych bakterii, że tutaj się nic nie zmieni, te bakterie będą świecić w ultrafiolecie jak świecą, DNA będzie świeciło, jak będzie świeciło, Nobla może ktoś dostanie, ale mój udział w tym wszystkim będzie naprawdę malutki, więc ja sobie zmienię swoje życie. I tak zniecka zmieniałam. Janek Pleszczyński, który był po mikrobiologii poszedł do Wyborczej i kiedyś się spotkaliśmy. Ja robiłam jakąś chałturkę, spotkaliśmy się i on mówi: „A przyjdź do nas” – „A to przyjdę z ciekawości, zobaczę” No i jak przyszłam tak z ciekawości, to potem [okazało się], że od października potrzebują [fotografa] tak na zawsze, a to był lipiec. Szybka rozmowa z mężem, właściwie, żeby zachować pozory demokracji, ale ja już wiedziałam, że właściwie to ja spadam. Miesiąc urlopu, [rozwiązanie umowy] za porozumieniem stron. Byłam na współpracy przez październik listopad i grudzień, a potem dostałam etat. No i tak już zostało. To był [19]91 rok.

### **008 Gazeta w Lublinie**

Wtedy byliśmy na Górnej. Ciemnię mieliśmy w piwnicy na Górnej, czyli, żeby przynieść zdjęcia na górę do grafików z tej piwnicy [chodziłam] trzy piętra tak dziesięć, piętnaście razy. Ale miałam kondycję! A piwnica była taka obskurna jak te mury, ale była sucha. Sucha wielka piwnica. Bywali tam jacyś fotografowie, chociaż wtedy w tej piwnicy na Górnej to przeważnie ja urzędowałam. A dopiero jak przeprowadziliśmy się na Krakowskie, to zaczęłam rozglądać się za jakimiś współpracownikami. Bo to już wtedy było docelowe miejsce. Już wtedy wiedzieliśmy, jak to mniej więcej rozwijać i wtedy pojawili się współpracownicy, ponieważ nawet gazeta zaczęła mieć większą objętość i już jednej osobie trudno to było obgonić. [Wacław Biały] wtedy był zajęty kampanią [Tadeusza] Mazowieckiego. Więc pojawił się w Gazecie dużo później, był w Warszawie. A ja pierwsze kontakty miałam z Pawłem Nowackim i Krzyszkiem Wasilewskim. Bo oni byli sekretarzami redakcji, więc to jakby wszystko przez nich przechodziło. Wacław zostawiał im dużą możliwość doboru kadry. Był takim wolnym ptakiem. Troszeczkę. Mnie z racji tej biologii wiele lat umieszczał zawsze w jakichś wydaniach weekendowych, czy świątecznych. Na przykład przed Bożym Narodzeniem przychodzi Wacław i mówi „Słuchaj, niedługo Boże Narodzenie, niedługo Wigilia, zwierzątka będą mówiły ludzkim głosem, może by jakieś przemówiło” Znaczyło to tylko tyle, że mam ruszyć tyłek gdzieś i wymyśleć jakąś historię o zwierzątkach, żeby było na Wigilię. No i wtedy były wyjazdy. Nie było z nim problemu, a nawet jeszcze podpuszczał żeby coś zrobić [więcej]. Wacław mówi „Wiesz co, coś by może teraz, na wiosnę o seksie? Zwierzątkowym” – „No dobra, to mogą być bociany” Jeździłam w teren, z terenu coś się przywiozło. Kolegów ornitologów mam cały rój. Na nietoperze się pojechało, zawsze jakieś opowieści, jakieś teksty były. Już dokładnie nie pamiętam, ale tego trochę było. Później po przeprowadzce na Krakowskie jakiś człowiek wpadł na pomysł, żeby wyrzucić niestety całe archiwum papierowe, w Gazecie. A było fajne. I całe to archiwum papierowe, wszystkich wydań i głównej gazety i lubelskiej, oprawione,

wszystko to wyrzucili. Trudno uwierzyć, prawda? W starej siedzibie było takie archiwum, siedziała tam dziewczyna, ona to wszystko archiwizowała i wszystko można było znaleźć, wszyściutko. Wycinki, tematycznie, w teczkach, plus jeszcze te książkowe wydania te zszywki roczne. To nawet [z ciekawości] się zaglądało do tej gazety, szło się, żeby pooglądać te książki. Poszło gdzieś na przemiał. Biblioteki to zbierają, ale to wszystko było oprawiane, do momentu archiwizacji elektronicznej to tam po prostu się zaglądało żeby pooglądać, to jak było. Jak mi się negatywy płukały, to szłam do archiwum, brałam i przeglądałam sobie jakąś książkę. Jak jeszcze [w redakcji] takie starożytne lampy były, taki rząddek starożytnych lamp, to klimat po prostu był nie z tej ziemi. I śnieg. Okna balkonowe były takie, że jak była bardzo śnieżna zima, to przez szczeliny pomiędzy tym podwójnym oknem balkonowym do sekretariatu redakcji jeszcze śnieg się wsypywał. I oczywiście palacze wychodzili na balkon palić, więc ten śnieg jeszcze roznosili. No po prostu redakcja z klimatem, nie da się ukryć.

### **009 Jak robić nowoczesna gazetę**

Na samym początku, rok wcześniej proces wydawniczy to typografia była. Taka, że oni się drukowali w „Domu Słów” To ten druk był taki jak „Trybuny Ludu” To było straszne. Pamiętam [te pierwsze egzemplarze], trzeba było robić wszystko, żeby zdjęcie wyglądało. Makiety były montowane ręcznie i wożone do Warszawy do drukarni. Na takich stołach montażowych klejona była ręcznie makietą. Był cały zespół, [który się tym zajmował]. Ta redakcja to było kupę ludzi. Z pięćdziesiąt [osób], jeśli nie więcej. Były panie maszynistki, które przepisywały teksty na maszynie, dziennikarze im dyktowali. Potem były ze dwa komputery do składu komputerowego. Słabo wydajne. Na ścianie wisiały makiety i na tej makiecie na ścianie były skracane teksty, czyli wykreślane fragmenty. Wielokrotnie czytany i skracany tekst zyskiwał. Janek Pleszczyński był na stażu w BBC i mówił dokładnie to samo. Czytany, skracany. Im więcej osób czyta tym tekst jest lepszy. Jak był czas, to wszyscy to czytali. Potem robili to redaktorzy. Pamiętam [pierwsze zdjęcie], to były wybory. Głosowanie w gmachu UMCS-u na Narutowicza, jakaś babcia szła do urny. Gdzieś to zdjęcie też mam w zasobach. To były te pierwsze rzeczy, które robiłam [dla Gazety], jeszcze formalnie się z nimi nie związałam. Były spotkania na UMCS z wielkimi ludźmi. Pamiętam Tomasa Venclovę na takim spotkaniu na UMCS-ie. Ja jeszcze byłam w mikrobiologii i żeby się rozpędzić robiłam takie właśnie rzeczy dla Gazety. To był jeden z takich tematów, właśnie. Ja miałam ochotę się czegoś nauczyć, a w ogóle ta nauka to był błędzenie po ciemku, bo przecież żadnych innych wzorów nie miałam, oprócz tego co widziałam w „Kurierze” „Sztandarze ludu” czy w „Trybunie ludu” Ale to nie był żaden wzór, a wzoru prowadzenia gazet, robienia gazet i robienia rzeczy do gazet, takich, światowych wzorów to my raczej nie mieliśmy. Nawet, za bardzo się nie dało tego pooglądać. W Empikach może był „Times”i oprócz rosyjskich gazet na które też nie bardzo można było patrzeć, to niczego tam sensownego nie



było. Więc nawet nie bardzo było się z czego uczyć.[Musieliśmy] zaufać osobom jak Wacław Biały, jak Janek Pleszczyński, czy tym osobom, które widziały inne gazety. I też, żeby nie było to skrzywienie osób, które robiły te podziemne wydawnictwa. Bo jednak gazety światowe różniły się swoim podejściem. A my tego nie potrafiliśmy. To były lata, lata nauki. Trzeba się było po prostu tego nauczyć i wypracować też własny model postępowania, bo inaczej powielaloby się jakieś byle jakie wzorce. Przecież ci ze „Sztandaru ludu” czy z „Kuriera” chociaż długo byli skostniali, ale też musieli troszeczkę iść na ustępstwa i tej nowocześniejszej gazety też chcieli się uczyć, mimo, że byli nauczeni czegoś zupełnie innego. Oni po prostu musieli robić krok w kierunku tej nowej pracy, chociaż też się wściekali, nie zgadzali i długo byli tacy tradycyjni. Dobrze, kilka lat im to zajęło. Więc do pewnego momentu, to praca w „Gazecie” to było uczenie się czegoś nowego. A to jest na tyle fascynujące, że trudno z tego zrezygnować.

### **010 Temperament włóczęgostwa**

Mogłam być nauczycielką, co nigdy nie było moim marzeniem, bo na to byłabym skazana, gdybym skończyła tą biologię. Mogłam siedzieć w laboratorium i za przeproszeniem płuć w próbówki, ale temperament mi na to nie bardzo pozwalał. Więc to było najlepsze wyjście dla mnie, że ja nie siedzę. To mój temperament włóczęgostwa, łażenia z aparatem. I to było najważniejsze –pretekst do poznawania miasta. Gdybym nie pracowała w Gazecie, to chyba nigdy nie chodziłabym na Stare Miasto w tamtych czasach. Bo to był teren zakazany. Jeżeli ktoś mieszka na LSM-ie, to właściwie poza ten LSM nie wychodzi. Pracując na mikrobiologii na ulicy Akademickiej, mieszkając gdzieś po obrzeżach LSM-u czy na LSM-ie praktycznie nie miałam potrzeby, żeby tę stronę miasta odwiedzać. Kino „Kosmos” „Bajka” droga na dworzec trolejbusem linii sto pięćdziesiąt, a stamtąd już wszędzie, czyli w góry, nad morze, gdzie się tylko dało. Więc myślę, że okolice Starego Miasta i oglądanie miasta tak jak oglądałam pracując w Gazecie inaczej nigdy by mi się nie trafiło. Było warto, żeby się trafiło poznawanie miasta w taki sposób, w jaki ja je poznawałam. Przecież pamiętam, jak przed tymi budami, na które teraz tak na Podzamczu narzekamy były jeszcze inne, gorsze budy. To był już taki totalny syf. Wtedy zaczęli wysiedlać tamte budy, bo postawili nowe. Oczywiście były protesty, były jakieś okupacje. Nie pamiętam czy policja, czy to straż miejska wtedy już była czy nie, w każdym razie ganiłi tych ludzi, żeby uporządkować ten teren trochę i postawić te budy, które są teraz. Które są ohydne absolutnie, ale wtedy w tych latach dziewięćdziesiątych poprawiały wizerunek miasta, a po drugie po prostu to były jakieś lepsze warunki niż te stoły i te łóżka [z których przedtem sprzedawano]. Ja pamiętam takie rzeczy. Albo zadymy na placu Litewskim z okazji 3 Maja. Już nie trzeba było za bardzo protestować, ale jeszcze znaleźli się tacy, którzy z komuchami walczyli. Czyli te bojówki KPN-u, tutaj są obchody oczywiście wznoszą się hasła, a tu utarczki z policją. Tak też było. I pierwszy dzień wiosny jak się schodzili uczniowie na plac

Litewski. Niektórzy się nawet przebierali, a potem i tak się kończyło jak zwykle czyli przyjeżdżało kilka samochodów policyjnych i zwijali do tych nysek tych co bardziej krewkich i pijanych uczniów. Teraz normalnie idą do ogródków, piją browara albo robią domówki. I żadnego happeningu w postaci gania się z policją na placu Litewskim z tego powodu już nie ma. A kiedyś były. Oczywiście mam to gdzieś na negatywach. Z takich szczególnych [spraw] to była pierwsza ekstradycja z Ukrainy do Polski przestępcy, słynnego bandyty Ciolo. Była ekstradycja na moście w Dorohusku. Pojechaliśmy tam. Miała być jakaś impreza na KUL i ja musiałam się ubrać grzecznie, w spódniczce byłam w szkocką kratę. Buciki niby na takim obcasie. Przychodzę do redakcji, a tu mówią, że trzeba jechać. No i wsiedliśmy wtedy z obywatelem Brzuszkiewiczem, bo on się tym zajmował, w jego samochód i czekaliśmy na moście w Dorohusku. Zimno było jak sam sukinsyn. A oni go wlekli. Nie pamiętam jak to było, czy oni go śmigłowcem potem wieźli do Lublina tutaj do naszego aresztu. Ale wiatr był jakiś taki, nie wiem czy to był listopad, czy to marzec, nie ma znaczenia –rajstopki cienkie, butki cienkie, spódniczka cienka, kurteczka też cienka. Przecież ja w mieście miałam być!

### **011 Praca fotoreportażystki**

Pierwsze „ataki terrorystyczne” w Lublinie. Nagle panowie zaczęli sobie bomby podkładać. To były takie trzy dni, ostrej pracy. Piątek, sobota i niedziela były zawody samolotowe zimowe. Ja te zawody zawsze obsługiwałam, bo przepisy były jakie były, więc nie dość, że zdjęcia musiałam zrobić, to jeszcze musiałam relacje pisać z tych zawodów samolotowych. I wtedy w niedzielę ja już taka zmachana byłam po tych trzech dniach takiej trudnej pracy. To był listopad, cały tydzień pracy, plus jeszcze ten weekend taki mocno dla mnie pracujący. Mieszkałam wtedy na 1-go Maja. Pojechałam do teściów po męża i córkę. Teściowa mówi, że jest serial jakiś do obejrzenia –namiętnie brazylijskie seriale oglądali, ja mówię taka poddenerwowana, że albo jedziemy teraz, albo oglądamy serial, ale tak stanowczo. Ja po prostu chciałam się stamtąd zwinąć, bo tak coś mnie goniło, goniło mnie. Pojechaliśmy jeszcze po piwo, postawiliśmy samochód, weszliśmy do domu, piwo do lodówki. Akurat to piwo pamiętam, że miałam dwa browary. Browary do lodówki, lodówkę klap. Zdjęłam jednego buta, jak coś nie łupnie! Mówię: „Cholera. Nie podoba mi się” A huknęło blisko, aż szyby zadzwoniły. „Nie podoba mi się to” Mówię do męża: „Otwórz okno” A przez te okna wiało, bo to stary budynek, mówię „Słuchaj, nie podoba mi się ten wybuch, otwórz okna” Zaczęłam tym oknem szarpać, otworzył mi to okno. Ja wyglądam, a tutaj – dym, samochód rozwalony. Nosem pociągnęłam –zapach materiałów wybuchowych. Mówię: „Przecież ja ten zapach znam z poligonów. W tym dymie coś, jakiś samochód rozwalony. Wypadek czy co?” I zbiegłam na dół. Sprzęt po raz pierwszy w życiu zostawiłam w redakcji, ponieważ rano miałam jechać na angielski, więc mówię: „Nie będę wlokła tego sprzętu, bo mi się nie chce. Nie będę. Niech on leży, z angielskiego, który miałam na Kalinie, pojedę od razu do roboty” No

więc, jak zobaczyłam, co się dzieje, to kazałam sobie rzucić kluczyki przez okno, wsiadłam w ten samochód mój, który był dalej zaparkowany. Wydarłam na Krakowskie –wszystkie czerwone światła pozaliczałam. Wbiegłam na górę. Kolega składacz-łamacz właśnie miał odjeżdżać, już gazeta była wysłana. Wbiegłam na górę, złapałam ten sprzęt –na to drugie piętro, to z taką zadyszka, mówię: „Wiesiek, jedziemy!” No i pojechaliśmy. Tam, jeszcze policja się nie zjechała, ja po prostu w dziesięć minut byłam w tę i nazad. Maluchem. Wiesiek gdzieś tam postawił to auto, ja się biorę za robienie zdjęć, a tu mam ostatnie dziesięć klat filmu w aparacie i prądu w lampie może na pięć strzałów. Wiesiek skręcał mi ten sprzęt, a ja jechałam, bo mówię „Wiesz co, jak będzie problem z policją, to ja wezmę to na organizm” No i przyjechaliśmy, zrobiłam to co trzeba było zrobić. Nie było to przyjemne, szczegółów daruję. Trzeba było wrócić do redakcji, żeby to wywołać. Nasza gazeta, nasza część już była w łamaniu, ale poszło to na główny grzbiet warszawski, bo jedynie tam miejsce było. Całe szczęście, że wydawcą był Jacek Rakowiecki, który czuł newsa, więc on zrobił po prostu miejsce, żeby weszła informacja z jakimś znacznym pocztowym. To już było po wszystkich deadlinach. No, zabawa na całego. Przyjechałam do domu, postawiłam to auto, jeszcze się pokręciłam przy tym miejscu, bo jak tu spać, jak jestem obudzona absolutnie. A okazało się, że panowie terroryści, panowie związani z grupami przestępczymi chcieli komuś podłożyć gdzieś pod sklepem bombkę. Klient majstrował przy tej bombie, miał ją na kolanach i przejeżdżali gdzieś niedaleko tej mojej kamienicy, to takie jeszcze wielkie audi było, a z drugiej strony jechała policyjna nyska czy jakiś inny polonez i mieli radio włączone. I to miało być, wyzwalane na radio chyba. Jak ci policjanci zaczęli gadać [przez radio], to temu facetowi na kolanach po prostu ta bombka złożona z plastiku i innych rzeczy normalnie wybuchła. No i tego jednego to wypruło tak zupełnie, drugiego wyrzuciło przez drzwi. Oczywiście też tego nie przeżył, ale już nie był taki pomasakrowany jak tamten z tą bombą na kolanach. To to była taka właśnie jedna z tych historii, jak dwadzieścia metrów od mojego samochodu wybuchła samochód z bombą. No, można się śmiać, ale to tak średnio było. Później się zawzięli i wyłapali tych wszystkich, którzy mieli bombowe pomysły. Ale były też jakieś żarty pod tytułem bomba wrzucona do kosza na śmieci na Czechowie, przy Żywnego. Był tam jakiś supermarket, nagle coś im w śmietniku zaczęło migać. Środek nocy gazeta już skończona. Anka Augustowska zadzwoniła do redakcji, bo ona była gdzieś towarzysko na Czechowie, a my z Agnieszką pojechałyśmy bombowe dziewczynki, bo tylko my byłyśmy w redakcji. Anka do nas dołączyła. I, pamiętam, był zakład z policjantami: „Nie, nie uda się pani zrobić tej diody świecącej przez ten śmietnik” A ja mówię: „Założymy się?” Zrobiłam. Wszystko wygaszone, światła wygaszone w tym sklepie, ta bomba wystawiona niby w tym śmietniku i światełko. To była jakaś atrapa. Jakiś straszak. Bardziej to był straszak, niż bomba, ale zabawy było na całą noc. Bo przyjechali pirotechnicy z Rzeszowa. U nas takich nie było, więc ekipa musiała się zebrać i przyjechać z Rzeszowa. A żeby zdjęcia jakieś były na następny dzień na

kontynuację, to trzeba było na nich poczekać. I nocka z głowy. Tak to było. Zawsze się coś działo. I tak jak kiedyś –jest zebranie i w złą godzinę było wypowiedziane: „Nic się nie dzieje, nic się nie dzieje z czego tu zrobić gazetę? Nic się nie dzieje”–„Spokojnie, coś się wydarzy” –„Ale z czego zrobić gazetę? Coś na jedynekę by się przydało” Zrobiło się. Akurat pod Lublinianką, samochód się zapalił. A że wtedy była jakaś nagonka na te instalacje gazowe montowane w samochodach, które były takie jednak trochę domowej roboty, no więc poszłam, zrobiłam mu te zdjęcia mówię „No i co Michał? Widzisz, wydarzyło się! Potrzebowałeś? Jest!” Pamiętam że na KUL-u kiedyś jakaś oficjalna wizyta była. Taka bardzo oficjalna wizyta. I oni sobie zażyczyli: „A, nie. Tutaj nie.” Ja grzecznie, zielona spódniczka, sprzętu, że łeb urywa. Weszłam tam sobie na podwórko, gdzie mieli kłaść kwiatki. I reszta towarzystwa tego fotograficznego zobaczyła, że tam weszłam, a oni nie mają szansy. I znalazł się taki jeden fotograf, który poleciał i podkablował mnie do borowików [pracownicy Biura ochrony Rządu], że albo wszyscy, albo nikt. No i borowik popatrzył jeden na drugiego: „No cóż, widzi pani, ma pani takiego kolegę, że musimy panią niestety wyprosić, chociaż nam pani tu nie przeszkadzała” Nie zauważyli mnie. Ja mówię: „No to może ja się będę opierała?”–„Nie, to panią wyniesiemy” Także tak też było fajnie. A jeszcze przecież ja sport robiłam, to jeszcze sportowe historie były. Na piłce ręcznej, damskiej, jak jeszcze była w MOSiR-ze, to tam nie było miejsca, żeby się schować, żeby odejść. Bo wiele razy było tak, że piłka rzucona krewką rączką zawodniczki, a one były mocne w rękach te panie, tak jak gwizdała koło ucha to jakby bomba przelatowała, jakby pocisk przelatował. Raz skuliłam się, odsunęłam, ale mimo wszystko koło ucha mi przeleciała taka piłeczka, a ona nie dość, że jest nasmarowana to jest twarda i ma prędkość i siłę dobrego pocisku. Siniaka mogła zrobić spokojnie. A że tam była ściana, więc jakby człowiek zaliczył piłką w głowę, to od razu walił głową o ścianę i się osuwał.

## **012 Pasja fotografii**

Ja lubię sobie wyjść na ulicę i popolować na ludzi i na sytuacje. Oczywiście w tych warunkach to trzeba potem te zdjęcia sobie schować i poczekać dziesięć, dwadzieścia lat i one nabierają wartości. Ja nie mam potrzeby publikowania tego natychmiast, ja sobie to robię i to leży. I się gromadzi. Tak lubię, robię tak na wyjazdach. Tylko na żaglach mam problem, bo z mojej załogi przynajmniej dwie trzecie jest osób niepublikowalnych. Ale jak wyjeżdżam na przykład do Londynu, to zawsze próbuje lecieć o szóstej rano samolotem z Warszawy, bo wtedy do godziny siedemnastej mam czas na Londyn dla siebie. Chodzę sobie z walizeczką, ciągam ją. No oczywiście aparat jest przeważnie mały pod kurtką albo wręcz powieszony. I tak, jak taki turysta, jestem bezkarna. No bo, kto będzie skakał do oczu jakiejś kobiecie z walizką, która małym, niepoważnym aparacikiem robi zdjęcia. I to samo jest w Wenecji, to samo w Turcji robiłam. Dokładnie ta sama technika. Mają być ludzie. Ulica. To trzeba chodzić i robić. To ulica ćwiczy. Już jak się zacznie, jak powącha się

tego szaleństwa to już się bez aparatu człowiek nie rusza. Na szczęście są teraz małe takie cudeńka. Jaśniutki, lekkie. Pozwalają bezkarnie sobie patrzeć. Problem tylko z publikacją, bo ja nie mam potrzeby publikowania tego obrazu, to może poczekać. Oczywiście jakieś rzeczy do publikacji robię, ale to jakby zawodowo już jest inaczej zorganizowane. A z tym nie mam problemu, bo działam w pewnej niszy fotograficznej. Po prostu robię swoje, a te rzeczy ekstra, które lubię najbardziej, czyli podglądanie ludzi gapienie się, nabierze swojej wartości kiedyś. Mnie się nie spieszy. Mnie już deadliney nie gonią. Ja już nie muszę. Ja już robię to co mi się podoba. Mam ulubionych [fotografów]. Z polskich no to Tomka Tomaszewskiego pasjami kocham za to co robi. Zawsze może taki trochę niedoceniany był u nas. Wojtek Dróżdź. Często się spotykaliśmy i on był dobry. On miał takie zbiory, bo jeszcze pracował dla „Kultury” w starych, dobrych czasach. On ma po prostu takie archiwa, że pozazdrościć. Pracował agencyjnie dla Francuzów i pracował dla „Kultury” więc to już to nie był jakiś tam strzelec, to był po prostu taki rzetelny fotoreporter. Tadzio Rolke, którego kocham pasjami. Tadzia to za samo życie. Tadek jest takim fajnym guru. No i teraz ci młodzi – Maks Skrzeczkowski z Kazimierza robi fajne rzeczy. Andrzej Koziara. Też jest bardzo porządnym gościem. Bo ja lubię takich ludzi z dystansem do zawodu, ale jednocześnie, że jak się trafia klatka no to wiadomo, że to jest ta klatka, która – patrzysz na to i: „A, wiedziałam że to ten to zrobił” To daje się poznać. Jak pracowałam w Gazecie, i się oglądało zdjęcia, tak na bieżąco, fotografów gazetowych, jak Sławka Kamińskiego, który tego sejmku dużo robił, to widać było – „Nawet nie ma co patrzeć na podpis, pewnie Sławek” Albo Michał Mutor. On robił dużo mody, ale robił też inne rzeczy, portrety. To widać było, że to tylko on mógł po prostu [zrobić]. Tak, jak patrzy się na Tomaszewskiego – „A czy to przypadkiem nie Tomaszewski, coś nowego?” – „Tak, Tomaszewski”

<b>Data i miejsce nagrania</b>	2016-01-15, Lublin
<b>Rozmawiał/a</b>	Joanna Majdanik
<b>Redakcja</b>	Agnieszka Piasecka
<b>Prawa</b>	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"